

Franz Grillparzer



Klasztor pod Sandomierzem
Das Kloster bei Sendomir

Armoryka

Franz Grillparzer
Klasztor pod Sandomierzem
Das Kloster bei Sandomir

F r a n z G r i l l p a r z e r

Klasztor pod Sandomierzem

Opowiadanie oparte na prawdziwym zdarzeniu

Das Kloster bei Sendomir

przełożył Apolinary Ujejski

**A r m o r y k a
S a n d o m i e r z 2 0 1 7**

Seria: *BIBLIOTEKA TRADYCJI SANDOMIERSKIEJ NR 28*

Redaktor serii: Andrzej Sarwa

Redaktor tomu: Andrzej Sarwa

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na pierwszej stronie okładki: Autor: „G. D“, *Mönch in einem Kreuzgang* (1830),
(licencja *public domain*), źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:MC3%B6nch_im_Kreuzgang_dt_1830s.jpg

Na czwartej stronie okładki: Josef Kriehuber (1800-1876), *Franz Grillparzer* (1841),
(licencja *public domain*), źródło: <https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Grillparzer.jpg>

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo ARMORYKA

ul. Krucza 16

27-600 Sandomierz

<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-213-3

KLASZTOR POD SANDOMIERZEM

Promienie zachodzącego słońca ozłacały krańce jednej z najpiękniejszych nizin województwa sandomierskiego.

Jak na pożegnanie spoczywały one na murach klasztoru, który z zachodu błyszczał mnóstwem okien. Dwóch jeźdźców z niewielkim poczem służby, zbliżało się właśnie ku krańcom przeciwległego łańcucha pagórków, a dzwon wieczorny, którego echo ścieliło się wśród rozkosznej doliny, powstrzymał jeźdźców.

Po krótkiej modlitwie pobudzili rycerze rumaki do szybszej jazdy, kierując w dolinę, wprost ku klasztorowi.

Ubiór późnych gości, wskazywał, iż są obcymi. Kapelusze o kreśtach, ozdobne piórami, pancerz u szyi, szerokim okolony kołnierzem, obcisłe pantalone i szerokie sztylpy znamionowały, że podróżni nie są synami tego kraju. I tak było w istocie. Jako posłowie cesarza niemieckiego, sami Niemcy zdążyli oni na dwór wojowniczego króla Jana Sobieskiego. Zaskoczeni nocą postanowili szukać spoczynku w tuż przed nimi leżącym klasztorze.

Już na noc zamknięta brama klasztorna rozwarła swe podwoje, skoro do niej zakołatali, a odźwierny zaprosił ich do obszernej izby gościnnej, gdzie posiłek i odpoczynek znaleźć mieli.

Jakkolwiek usprawiedliwiając, dodał:

– Przeor i bracia zakonnici zgromadzeni już w chórze na wieczorne modły, odmówić sobie muszą przyjemności osobistego przyjęcia tak zacnych gości.

Oświadczenie człowieka tego o niepewnym, podejrzliwym wzroku, potwierdzał monotonny oddźwięk na pół śpiewających, na pół recytujących głosów, który z dala stłumiony, przeciskając się, odbijał się o wysokie sklepienia i znamionował śpiew chóralny zakonnej braci.

Obydwaj przybysze wstąpili do wskazanej komnaty, która, jak i cały klasztor widocznie staroświecki, ostrołukowy sposób budowania, umyślną ścisłością naśladowała.

Nieliczne acz przyzwoite sprzęty, rozmieszczone były wokół ścian. Wysokie okna w łuki wiodły w otwartą przestrzeń, gdzie na zachodniej stronie wschodzący księżyc walcząc z ostatnimi błyskami dnia skłaniającego się w objęcia nocy, skąpe promienie na wierzchołki pagórkowatej ziemi rzucał, podczas gdy w załomach dolin i wśród drzew niedalekiego lasu, z wolna noc ze swym ciemnym otoczeniem coraz to szerzej rozpościerała panowanie, a uroczysta cisza wespół z cieniami nocy całunem swym otuliła wszystko żywotne i martwe.

Własna podróżnych rycerzy służba wniosła wieczerze i wino. Znużeni goście usiedli przy prostym stole ustawionym we framudze wielkiego okna w wysokich krzesłach poręcznych, śledząc z rozkoszą czarowne światło księżyca i pokrzepiając zarazem jadłem i napojem ciało do dalszej nazajutrz podróży.

Tak minęła niemal godzina. Noc zupełna zapadła, dźwięk dzwonu i śpiew w chórze dawno już ucichły. Służba przed odejściem na spocznik zapaliła wiszącą u stropu w środku komnaty lampę. Przy ponurym jej świetle siedzieli obydwa rycerze wśród żywej rozmowy, toczącej się może o celu podróży, w każdym razie o czymś ważnym. Wtem zapukano silnie do drzwi komnaty, a zanim niechętnie przerywając tok rozmowy, odpowiedziano zaproszeniem, otworzyły się drzwi i weszła szczególniejsza postać z zapytaniem czy nie potrzeba rozniecić ognia na kominku.

Przybyły miał na sobie znoszony, w kilku miejscach połatany habit mnisi, który w dziwny sposób odbijał od postawy i ułożenia jego. Mnich ten jakkolwiek wiekiem nieco pochylony i raczej mały niż średniego wzrostu, w postaci swej miał wyryte piętno siły i odwagi tak, iż pominiawszy ubiór mnisi można było mniemać, że jest wszystkim, tylko nie cichym synem Kościoła. Włosy i broda widocznie niegdyś kruche, obecnie mocno siwizną przyprószone, mimo swej długości kędzierzawe, okalały w bujnej obfitości czoło i usta.

Oko spuszczone w dół z klasztorną pokorą, skoro się wzniosło, świeciło błyskawicą. Czarne te gwiazdy tak straszliwie się iskrzyły spośród wybladłych lic, iż mimo woli uczuwało się ulgę, gdy szerokie powieki je zakryły.

Takie wrażenie czyniący i tak ubrany pojawił się mnich ów, na ramieniu z wiązką drwa, na ustach z pytaniem, azali ma ogień rozniecić na kominku.

Obydwaj podróżni spojrzeli na siebie zdziwieni tym szczególniejszym zjawiskiem. Tymczasem mnich przykląkł u komina i rozniecił ogień, a uwaga, iż nie jest zimno, przeto trud jego jest zbyteczny, nie powstrzymała go w rozpoczętej czynności, odparł tylko, iż noce bywają, już chłodne. Gdy ogień wesoło już płonął, powstał i zatrzymał się na chwilę ogrzewając ręce, a następnie jakby nie zważając na przybyszów, kroczył w milczeniu ku drzwiom. Położył właśnie dłoń na klamce, wtem odezwał się jeden z przybyszów:

– Ponieważ już tu jesteście, czcigodny ojcze...

– Bracie! – odparł, jakby z niechęcią, mnich wcale się nie oglądając, i stał z pochylonym ku drzwiom czołem u wejścia.

– A więc, czcigodny bracie – ciągnął dalej obcy – ponieważ już tu jesteście, udzielcie nam wyjaśnień niejakich.

– Pytajcie – odrzekł mnich, zwracając się ku mówiącemu.

– Otóż – mówił obcy – pyszne położenie i rodzaj budowy klasztoru tego napełniły nas podziwem, mimo naśladowania stylu dawnego, zdaje się, że niedawno został wzniesionym.

Ciemne oczy mnicha podniosły się przy tych słowach i z rodzajem srogiego wyrazu spoczęły na mówiącym, który dalej ciągnął:

– Minęły te czasy, kiedy wznoszenie takich pomników pobożności nie było niczym nadzwyczajnym.

– Jak długo stoi ten klasztor... Czy wiecie już o tym, czy też nie wiecie? – pytał mnich, w ziemię patrząc.

– Gdybyśmy wiedzieli, nie pytalibyśmy – odparł obcy.

– Zdarza się to poniekąd – mruknął mnich. – Trzy lata stoi ten klasztor, trzydzieści – dodał poprawiając się i nie podnosząc wzroku.

– Jakże się zwał fundator tego klasztoru – pytał dalej obcy. – Co za Bogu miły człek?

Słyszac to, wybuchł mnich szyderczym śmiechem, poręcz krzesła, na której był wsparty, pod naciskiem ręki jego ułamała się gwałtownie. Zdawało się, iż ze wzroku, który skierował ku przybyszom piekło wionęło, a odwróciwszy się nagle, wyszedł głośnymi krokami.

Jeszcze obydwaj rycerze nie ochłonęli ze zdziwienia, gdy drzwi na powrót się rozwarły i ten sam mnich znowu wszedł. Jak gdyby nic nie zaszło, postąpił do kominka, poprawił ogień, dołożył drwa, a zwracając się ku gościom, w te odezwał się słowa:

– Ze sług tego domu jestem najniższy, najniższe też spełniać muszę posługi. Wobec obcych muszę być uprzejmym i odpowiadać na ich pytania. Wyście także pytali, a o cóż pytaliście?

– Pragnęliśmy się nieco dowiedzieć o fundacji klasztoru tego, jednak wasze dziwne zachowanie – rzekł starszy z Niemców.

– Tak, tak – odparł mnich. – Wyście obcy i nie znacie ni kraju, ni ludzi. Rad bym nie zadowolić waszej próżnej ciekawości, lecz gotowicie mnie oskarżyć przed opatem, a ten mnie złaje jak wówczas, gdy się porwałem na palatyna plockiego za to, iż złżył pamięć mych ojców.

– Przybywacie z Warszawy? – zapytał po chwili.

– Zdążamy tam dopiero – odparł jeden z obcych.

– O, to niecne miasto – rzekł mnich. – Gdyby fundator klasztoru tego nie znał Warszawy, nie byłby fundował klasztoru, nie byłoby tu mnichów i ja bym takim nie był. Ponieważ nie przybywacie stamtąd, to

może prawymi ludźmi jesteście i dlatego opowiem wam historię tego klasztoru. Ale nie przerywajcie mi i nie pytajcie o nic, gdy skończę. Zresztą znowu raz chętnie pomówię o tym. Gdyby tylko nie taka gęsta mgła zalegała, zaledwie dojrzeć można zamczyska, a księżyc tak posępnie ruiny jego oświeca...

Ostatnie słowa rozplynęły się wśród niezrozumiałego szeptu, po czym nastąpiła głęboka cisza, wśród której mnich w obszerne rękawy habitu ręce włożył, głowę pochylił na piersi i nieruchomy siedział.

Obydwa przybysze sądzili już, że mnich żałuje danego przyrzeczenia i chcieli się oddalić. Wtem nagle mnich wyprostował się, zaczerpnął pełną piersią powietrza, kaptur opadł mu z głowy, oko nie płonęło już dziko lecz błyszczało prawie rzewnym światłem, głowę zwróconą ku księżycowi oparł na reku i tak mówił:

– Starzeński zwał się ów mąż, hrabia z rodu, bogaty pan okolicznych włości i tego miejsca gdzie klasztor obecnie się wznosi. Wówczas jednak nie było tu jeszcze klasztoru, lecz pług pruł żyzną ziemię. Hrabia mieszkał tam na górze, gdzie obecnie promienie księżyca łamią się od porysowanych murów. Nie był on złym, jakkolwiek nie był i dobrym. Na wojnie zwano go walecznym, zresztą żył on w cichości i odosobnieniu w zamku swych ojców. Jedno najbardziej wszystkich dziwiło: nie widziano go nigdy zdradzającego uczucia ku niewiastom. Widocznie unikał kobiet. Uchodził przeto za nieprzyjaciela kobiet, w rzeczywistości jednak nim nie był.

Z natury, umysłu nieśmiałego i może się nie mylę mówiąc, iż głównie zadowolenie z posiadania samego siebie było powodem, iż uniknął dotąd wszelkiego zbliżenia. Brak pociągu do rozkoszy był dla niego rozkoszą. Macie jeszcze wina? Dajcie mi puchar. Nie, hrabia nie był taki zły.

Mnich napił się i mówił dalej:

– Tak żył Starzeński i tak zamierzał umierać, jednak inaczej było mu przeznaczone.

Zwołano sejm walny do Warszawy, dokąd podążyć musiał.

Niezadowolony przewrotnością ogółu, z którego każda jednostka tylko o sobie pamiętała tam, gdzie chodziło o całości, szukał często samotności rozmyślając nad poprawą złego. Kiedy tak raz wieczorem błąkał się po ulicach miasta, nad którym zawisły czarne chmury grożące lada chwila strugę deszczu opuścić i gęsta ciemność zaległa wszystko, usłyszał za sobą głos kobiety, która drżąc i łkając, do niego się odezwała:

– Na miłość Boga, ulitujcie się nad nieszczęśliwym.

Szybko obróciwszy się, spostrzegł hrabia dziewczę wyciągające błagalnie ku niemu ręce. Ubrana była ubogo a biała szyja i ramiona jej błyszczały wśród ciemności nocy. Hrabia szedł za dziewczyną.

Gdy uszli kilka kroków, dziewczę wstąpiło do niskiego domku, a za nią Starzeński. Tu znaleźli się sam na sam w ciemnej sieni. Ciepła dłoń ujęła jego rękę...

– Jesteście z rycerskiego zakonu? – zapytał naraz mnich zwracając się do młodszego z przybyszów. – Co znaczy krzyż na waszym płaszczu?

– Jestem kawalerem maltańskim – odparł tenże.

– Wy także? – zapytał mnich drugiego.

– Nie – brzmiała odpowiedź.

– Macie więc żonę i dzieci?

– Nie miałem nigdy ni żony, ni dzieci.

– Ileż lat macie?

– Czterdzieści pięć.

– Tak, tak – jakby ze zdziwieniem powtórzył mnich i mówił dalej:

Jakieś dotąd nieznanne uczucie ogarnęło hrabiego przy dotknięciu tej ciepłej dłoni. W baśniach Wschodu opowiadają o pewnym człeku, który niespodzianie posiadał dar zrozumienia głosu ptaków i innych stworzeń. Odtąd leżąc w cieniu strumyka z wesołym zdumieniem przysłuchiwał się rozmowie stworzeń, która dla niewtajemniczonego była niezrozumiałym świergotem.

Podobnego uczucia doznał i hrabia. Nowy świat otworzył się przed nim, z bijącym sercem szedł on za swą przewodniczką, która uchyliw-

szy niskie drzwi, weszła z nim do małej, słabo oświetlonej izdebki. Pierwszy promień światła padł na dziewczynę. Starzeński był uradowany, iż rzeczywiście ziściła co przeczucie przyrzekało. Dziewczę było piękne w całym słowa tego znaczeniu. Czarne kędzierzawe włosy okalały czoło i spadały na ramiona, podnosząc aż do podziwu urok jasnoniebieskich i promieniejących oczu również czarnymi ocienionych rzęsami.

Piękne koralowe usta nie szpeciła wcale niewielka blizna, która jak wąska biaława linia ukośnie przebiegając gubiła się w karminie górnej wargi.

Dołki w podbródku i licach, czoło i nos może nieodpowiednie dla ideału malarza, ujmujące jednak w moich rodaczkach, uzupełniały wyraz powabnej główki i stały w harmonii z kształtami wysmukłe, a zarazem i okrągło zbudowanego ciała, którego rozkoszną piękność ubogie ubranie bardziej jeszcze podnosiło.

Cóż to wam rycerzom maltańskim o takich rzeczach mówić! Pomyślicie: stary mnich majączy. Pozwólcie wychylić mi nieco wina. Dziękuję, lżej mi już.

Hrabia zapatrzył się w dziewczę i nie spostrzegł, iż kącie izby na garstce zbutwiałej słomy spoczywa nędzna postać starca okryta łachmanami, pod głową zamiast poduszki stare siodło.

Starzec wychylił dłoń spod nędznego okrycia i zapytał stłumionym, na pół zamarłym, głosem:

– Czy ty to, Elżbieto? Kogoż mi przyprowadzasz?

– Oto nieszczęśliwy, dla którego rozpaczą wiedziona o litość was błagałam – odezwało się dziewczę do Starzeńskiego. – On jest moim ojcem, szlachcicem, z rodu dobrze zasłużonego i znanego w kraju, lecz prześladowaniem przywiedziony został do tego stanu.

To wyrzekłszy, uklękła przy łożu starca i poprawiając łachmany, którymi był okryty, usiłowała nadać pozor ładu i przyzwoitości.

Hrabia przybliżył się i słuchał opowiadania. Ten, który przed nim leżał, był starostą z Laszek. On i dwaj jego synowie należeli do związku politycznego przez kraj źle widzianego. Odkryto ich zamiary. Obydwaj

synowie wraz z kilku nieostrożnymi sprzysiężonymi, wydaleniu zostali z kraju. Ojcu zabrano majątki i popadł w nędzę.

Skoro tylko Starzeński usłyszał nazwisko starosty z Laszek wie-
dział, że położenie jego nie było całkiem zasłużone. Bo jakkolwiek nie
udowodniono mu bezpośredniego współuczestnictwa w zamiarach sy-
nów, to mimo tego wina jego była wielka, gdyż sam lekkomyślny i nie-
gospodarny za młodu zamknął swym synom drogę prawą do wzniesie-
nia się i tym samym uczynił ich pochopnymi do awanturniczych zamy-
słów. Wszystko to wiadomym było hrabiemu, należało jednak być po-
mocnym nieszczęśliwemu, a ojciec Elżbiety pozyskał w osobie hrabie-
go najwymowniejszego protektora.

Przeniesiono starostę do przyzwoitszego mieszkania, zaopatrzone
jego i córkę we wszystkie potrzeby. Starzeński użył całego swego
wpływu i swych stosunków, nie szczędził pieniędzy i zabiegów, by
uzyskać restaurację usuniętego od majątków i odwołanie banitów.
W usiłowaniach tych pomocnym był Starzeńskiemu szczęśliwy zbieg
okoliczności. Zewnętrzne bowiem stosunki państwa ułożyły się podów-
czas w ten sposób, iż knowania nieostrożnych, nie budziły już żadnych
obaw dla niebezpieczeństw dla kraju. Udzielono ułaskawienia, banici
szykowali się do powrotu. Niektórzy z nich wytrwali w swej lekko-
myślności, w obczyźnie zaciągnęli się do służby, obydwaj jednak syno-
wie starosty i daleki kuzyn z domu Ogiński skorzystali z pozwolenia
powrotu z wielkim trudem uzyskanego.

Ze zwrotu skonfiskowanych dóbr starosty niewiele okazało się po-
żytku. Co chwila nowi zgłaszali się wierzyciele. Kapitał i zaległe odset-
ki przewyższały znacznie wartość pozostałej nieruchomości.

Starzeński podjął się pośrednictwa w układach, płacił wierzycielom,
zadłużył własne dobra, a mimo tego zdołał zaledwie szczątki rodzin-
nych posiadłości jako zawiązek na przyszłość zachować.

Natomiast zdawało mu się, iż był szczęśliwym pod względem za-
biegów o pozyskanie względów Elżbiety. Skoro dziewczę po raz pierw-
szy ujrzało się w przyzwoitym ubraniu, rzuciło się przy wejściu hrabie-

DAS KLOSTER BEI SENDOMIR

Die Strahlen der untergehenden Sonne vergoldeten die Abhänge eines der reizendsten Täler der Woiwodschaft Sendomir. Wie zum Scheidekuß ruhten sie auf den Mauern des an der Ostseite fensterreich und wohnlich prangenden Klosters, als eben zwei Reiter, von wenigen Dienern begleitet, den Saum der gegenüberliegenden Hügelkette erreichten, und, von der Vesperglocke gemahnt, nach kurzem, betrachtendem Verweilen, ihre Pferde in schärfern Trott setzten, taleinwärts, dem Kloster zu.

Die Kleidung der späten Gäste bezeichnete die Fremden. Breitgedrückte, befiederte Hüte, das Elenkoller vom dunklen Brustharnisch gedrückt, die straffanliegenden Unterkleider und hohen Stulpstiefeln erlaubten nicht, sie für eingeborne Polen zu halten. Und so war es auch. Als Boten des deutschen Kaisers zogen sie, selbst Deutsche, an den Hof des kriegerischen Johann Sobiesky, und, vom Abend überrascht, suchten sie Nachtlager in dem vor ihnen liegenden Kloster.

Das bereits abendlich verschlossene Tor ward den Einlaßheischenden geöffnet, und der Pförtner hieß sie eintreten in die geräumige Gaststube, wo Erfrischung und Nachtruhe ihrer warte; obgle-

ich, wie er entschuldigend hinzusetzte, der Abt und die Konventualen, bereits zur Vesper im Chor versammelt, sich für heute die Bewillkommnung so werter Gäste versagen müßten. Die Angabe des etwas mißtrauisch blickenden Mannes ward durch den eintönigen Zusammenklang halb sprechend, halb singend erhobener Stimmen bekräftigt, die, aus dämpfender Ferne durch die hallenden Gewölbe sich hinwindend, den Chorgesang einer geistlichen Gemeinde deutlich genug bezeichneten.

Die beiden Fremden traten in das angewiesene Gemach, welches, obgleich, wie das ganze Kloster, offenbar erst seit kurzem erbaut, doch altertümliche Spitzformen mit absichtlicher Genauigkeit nachahmte. Weniges, doch anständiges Geräte war rings an den Wänden verteilt. Die hohen Bogenfenster gingen ins Freie, wo der in Osten aufsteigende Mond, mit der letzten Abendhelle kämpfend, nur sparsame Schimmer auf die Erhöhungen des hügelichten Bodens warf, indes in den Falten der Täler und unter den Bäumen des Forstes sich allgemach die Nacht mit ihrem dunkeln Gefolge lagerte, und stille Ruhe, hold vermischend, ihren Schleier über Belebtes und Unbelebtes ausbreitete.

Die eigenen Diener der Ritter trugen Wein auf und Abendkost. Ein derbgefügter Tisch, in die Brüstung des geöffneten Bogenfensters gerückt, empfing die ermüdeten Gäste, die, auf hohe Armstühle gelagert, sich bald an dem zauberischen Spiele des Mondlichtes ergötzten, bald, zu Wein und Speise zurückkehrend, den Körper für die Reise des nächsten Tages stärkten.

Eine Stunde mochte auf diese Art vergangen sein. Die Nacht war vollends eingebrochen, Glockenklang und Chorgesang längst verstummt. Die zur Ruhe gesendeten Diener hatten eine düsterbrennende Ampel, in der Mitte des Gemaches hängend, angezündet, und noch immer saßen die beiden Ritter am Fenster, im eifrigen Gespräch; vielleicht vom Zweck ihrer Reise, offenbar von Wichtigem. Da pochte es mit kräftigem Finger an die Türe des Gemaches, und ehe man noch, ungern die Rede unterbrechend, mit

einem: Herein! geantwortet, öffnete sich diese, und eine seltsame Menschengestalt trat ein, mit der Frage: ob sie Feuer bedürften?

Der Eingetretene war in ein abgetragenes, an mehreren Stellen geflicktes Mönchskleid gehüllt, das sonderbar genug gegen den derben, gedrunghenen Körperbau abstach. Obgleich von Alter schon etwas gebeugt und mehr unter als über der Mittelgröße, war doch ein eigener Ausdruck von Entschlossenheit und Kraft über sein ganzes Wesen verbreitet, so daß, die Kleidung abgerechnet, der Beschauer den Mann eher für alles, als für einen friedlichen Sohn der Kirche erkannt hätte. Haar und Bart, vormals augenscheinlich rabenschwarz, nun aber überwiegend mit Grau gemischt und, trotz ihrer Länge, stark gekräuselt, drängten sich in dichter Fülle um Stirne, Mund und Kinn. Das Auge, klösterlich gesenkt, hob sich nur selten; wenn es aber aufging, traf es wie ein Wetterschlag, so grauenhaft funkelten die schwarzen Sterne aus den aschfahlen Wangen, und man fühlte sich erleichtert, wenn die breiten Lider sie wieder bedeckten. So beschaffen und so angetan, trat der Mönch, ein Bündel Holz unter dem Arme, vor die Fremden hin, mit der Frage: ob sie Feuer bedürften?

Die beiden sahen sich an, erstaunt ob der seltsamen Erscheinung. Indessen kniete der Mönch am Kamine nieder und begann Feuer anzumachen, ließ sich auch durch die Bemerkung nicht stören, daß man gar nicht friere, und seine Mühe überflüssig sei. Die Nächte würden schon rauh, meinte er und fuhr in seiner Arbeit fort. Nachdem er sein Werk vollendet, und das Feuer lustig brannte, blieb er ein paar Augenblicke am Kamin stehen, die Hände wärmend, dann, ohne sich scheinbar um die Fremden zu bekümmern, schritt er schweigend der Türe zu.

Schon stand er an dieser und hatte die Klinke in der Hand, da sprach einer der Fremden: "Nun Ihr einmal hier seid, ehrwürdiger Vater"- "Bruder!" fiel der Mönch, wie unwillig, ein, und ohne sich umzusehen, blieb er, die Stirn gegen die Türe geneigt, am Eingange stehen.

“Nun denn also, ehrwürdiger Bruder!” fuhr der Fremde fort, “da Ihr schon einmal hier seid, so gebt uns Aufschluß über einiges, das wir zu wissen den Wunsch hegen.”

“Fragt!” sprach, sich umwendend, der Mönch.

“So wißt denn”, sagte der Fremde, “daß uns die herrliche Lage und Bauart Eures Klosters mit Bewunderung erfüllt hat, vor allem aber, daß es so neu ist und vor kurzem erst aufgeführt zu sein scheint.”

Die dunkeln Augen des Mönches hoben sich bei dieser Rede und hafteten mit einer Art grimmigen Ausdrucks auf dem Sprechenden.

“Die Zeiten sind vorüber”, fuhr dieser fort, wo die Errichtung solcher Werke der Frömmigkeit nichts Seltenes war. Wie lange steht das Kloster?”

“Wißt Ihr es vielleicht schon?” fragte, zu Boden blickend, der Mönch, “oder wißt Ihr es nicht?”

“Wenn das erstere, würde ich fragen?” entgegnete der Fremde.

“Es trifft sich zuweilen”, murmelte jener. “Drei Jahre steht dies Kloster. Dreißig Jahre!” fügte er verbessernd hinzu und sah nicht auf vom Boden.

“Wie aber hieß der Stifter?” fragte der Fremde weiter. “Welch gottgeliebter Mann?” – Da brach der Mönch in ein schmetterndes Hohngelächter aus. Die Stuhllehne, auf die er sich gestützt hatte, brach krachend unter seinem Druck zusammen; eine Hölle schien in dem Blicke zu flammen, den er auf die Fremden richtete, und plötzlich gewendet, ging er schallenden Tretes zur Türe hinaus.

Noch hatten sich die beiden von ihrem Erstaunen nicht erholt, da ging die Türe von neuem auf, und derselbe Mönch trat ein. Als ob nichts vorgefallen wäre, schritt er auf den Kamin zu, lockerte mit dem Störeisen das Feuer auf, legte Holz zu, blies in die Flamme. Darauf sich umwendend, sagte er: “Ich bin der mindeste von den Dienern dieses Hauses. Die niedrigsten Dienste sind mir zuge-

wiesen. Gegen Fremde muß ich gefällig sein, und antworten, wenn sie fragen. Ihr habt ja auch gefragt? Was war es nur?"

"Wir wollten über die Gründung dieses Klosters Auskunft einholen", sprach der ältere der beiden Deutschen, "aber Eure sonderbare Weigerung"- "Ja, ja!" sagte der Mönch, "Ihr seid Fremde, und kennet Ort und Leute noch nicht. Ich möchte gar zu gerne Eure törichte Neugierde unbefriedigt lassen, aber dann klagt Ihr dem Abte, und der schilt mich wieder, wie damals, als ich dem Palatin von Plozk an die Kehle griff, weil er meiner Väter Namen schimpfte. Kommt Ihr von Warschau?" fuhr er nach einer kleinen Weile fort.

"Wir gehen dahin", antwortete einer der Fremden.

"Das ist eine arge Stadt", sagte der Mönch, indem er sich setzte. "Aller Unfrieden geht von dort aus. Wenn der Stifter dieses Klosters nicht nach Warschau kam, so stiftete er überhaupt kein Kloster, es gäbe keine Mönche hier, und ich wäre auch keiner. Da Ihr nicht von dorthier kommt, mögt Ihr rechtliche Leute sein, und, alles betrachtet, will ich Euch die Geschichte erzählen. Aber unterbrecht mich nicht und fragt nicht weiter, wenn ich aufhöre. Am Ende sprech ich selbst gerne wieder einmal davon. Wenn nur nicht so viel Nebel dazwischen läge, man sieht kaum das alte Stammschloß durchschimmern – und der Mond scheint auch so trübe." – Die letzten Worte verloren sich in ein unverständliches Gemurmel, und machten endlich einer tiefen Stille Platz, während welcher der Mönch, die Hände in die weiten Ärmel gesteckt, das Haupt auf die Brust gesunken, unbeweglich da saß. Schon glaubten die beiden, seine Zusage habe ihn gereut, und wollten kopfschüttelnd sich entfernen; da richtete er sich plötzlich mit einem verstärkten Atemzuge empor; die vorgesunkene Kapuze fiel zurück; das Auge, nicht mehr wild, strahlte in fast wehmütigem Lichte; er stützte das dem Mond entgegengewendete Haupt in die Hand und begann:

"Starschensky hieß der Mann, ein Graf seines Stammes, dem gehörte die weite Umgegend und der Platz, wo dies Kloster steht.

Damals war aber noch kein Kloster. Hier ging der Pflug; er selber hauste dort oben, wo jetzt geborstene Mauern das Mondlicht zurückwerfen. Der Graf war nicht schlimm, wenn auch gerade nicht gut. Im Kriege hieß man ihn tapfer; sonst lebte er still und abgeschieden im Schlosse seiner Väter. Über eines wunderten sich die Leute am meisten: nie hatte man ihn einem weiblichen Wesen mit Neigung zugetan gesehen, sichtlich vermied er den Umgang mit Frauen. Er galt daher für einen Weiberfeind; doch war er keiner. Ein von Natur schüchterner Sinn, und – laßt sehn ob ichs treffe!“ sagte der Mönch, indem er sich aufrichtete – „ein über alles gehendes Behagen am Besitz seiner selbst, hatte ihm bis dahin keine Annäherung erlaubt. Abwesenheit von Unlust war ihm Lust. – Habt Ihr noch Wein übrig? Gebt mir einen Becher! Der Graf war so schlimm nicht.“

Der Mönch trank, dann fuhr er fort: „So lebte Starschensky, so gedachte er zu sterben; doch war es ihm anders bestimmt. Ein Reichstag rief ihn nach Warschau. Unwillig über die Verkehrtheit der Menge, deren jeder nur sich wollte, wo es das Wohl des Ganzen galt, ging er eines Abends durch die Straßen der Stadt; schwarze Regenwolken hingen am Himmel, jeden Augenblick bereit, sich zu entladen, dichtes Dunkel ringsum. Da hörte er plötzlich hinter sich eine weibliche Stimme, die zitternd und schluchzend ihn anspricht: Wenn Ihr ein Mensch seid, so erbarmt Euch eines Unglücklichen! Rasch umgewendet, erblickt der Graf ein Mädchen, das bittend ihm die Hände entgegenstreckt. Die Kleidung schien ärmlich, Hals und Arme schimmerten weiß durch die Nacht. Der Graf folgt der Bittenden. Zehn Schritte gegangen, tritt sie in eine Hütte, Starschensky folgt, und bald steht er mit ihr allein auf dem dunkeln Flur. Eine warme, weiche Hand ergreift die seinige. – Seid Ihr Ordensritter?“ unterbrach sich der Mönch, zu dem Jüngeren der Fremden gewendet. „Was bedeutet das Kreuz auf Eurem Mantel?“ – „Ich bin Malteser“, entgegnete dieser. – „Ihr auch?“ wendet der Mönch sich zum zweiten. – „Keineswegs“, war die Antwort. – „Habt ihr

Weib und Kinder?“ – „Beides hatt' ich nie.“ – „Wie alt seid Ihr?“ – „Fünfundvierzig.“ – „So! so!“ murmelte kopfnickend der Mönch. Dann fuhr er fort:

„Ein bis dahin unbekanntes Gefühl ergriff den Grafen bei der Berührung der warmen Hand. Sie erzählen ein morgenländisches Märchen von einem, dem plötzlich die Gabe verliehen ward, die Sprache der Vögel und andern Naturwesen zu verstehen, und der nun, im Schatten liegend am Bachesrand, mit freudigem Erstaunen rings um sich überall Wort und Sinn vernahm, wo er vorher nur Geräusch gehört und Laute. So erging es dem Grafen. Eine neue Welt stand vor ihm auf, und bebend folgte er seiner Führerin, die eine kleine Türe öffnete, und mit ihm in ein niederes, schwacherleuchtetes Zimmer trat.

Der erste Strahl des Lichtes fiel auf das Mädchen. Starschen-skys innerstes Wesen jubelte auf, daß die Wirklichkeit gehalten, was die Ahnung versprach. Das Mädchen war schön, schön in jedem Betracht. Schwarze Locken ringelten sich um Stirn und Nacken, und erhoben, mit der gleichgefärbten Wimper, bis zum Sonderbaren den Reiz des hellblau strahlenden Auges. Der Mund mit üppig aufgeworfenen, beinahe zu hochroten Lippen, ward keineswegs durch eine kleine Narbe entstellt, die, als schmale, weißlich gefärbte Linie schräg abwärts laufend, sich in den Karmin der Oberlippe verlor. Grübchen in Kinn und Wangen; Stirn und Nase, wie vielleicht gerade der Maler sie nicht denkt, wie sie aber meinen Landsmänninnen wohl stehen, vollendeten den Ausdruck des reizenden Köpfchens und standen in schönem Einklange mit den Formen eines zugleich schlank und voll gebauten Körpers, dessen üppige Schönheit die ärmliche Hülle mehr erhob als verbarg. – Nicht wahr, davon wißt Ihr nichts, Malteser? Ja, ja, bei dem alten Mönch rappelts einmal wieder! Laßt uns noch eins trinken! – So, und nun gut.

Der Graf stand verloren im Anschauen des Mädchens und bemerkte kaum, daß in einem Winkel der Hütte, auf moderndes Stroh

gebettet, einen zerrissenen Sattel statt des Kissens unter dem Kopfe, mit Lumpen bedeckt, die Jammergestalt eines alten Mannes lag, der jetzt die Hand aus seinen ärmlichen Hüllen hervorstreckte, und mit erloschener Stimme fragte: Bist du, Elga? Wen bringst du mir da? – Hier der Unglückliche, sprach das Mädchen zu Starschensky gewendet, für den ich, durch äußerste Not getrieben, Euer Mitleid ansprach. Er ist mein Vater, ein Edelmann von altem Stamm und Adel, durch Verfolgung bis hierher gebracht. – Damit ging sie hin, und am Lager des Greises niedergekauert, suchte sie, durch Zurechtrücken und Ausbreiten, in die Lumpen, die ihn bedeckten, einen Schein von Anständigkeit und Ordnung zu bringen.

Der Graf trat näher. Er erfuhr die Geschichte. Der vor ihm lag, war der Starost von Laschek. Er und seine zwei Söhne hatten sich in politische Verbindungen eingelassen, die das Vaterland mißbilligte. Ihre Anschläge wurden entdeckt. Die beiden Söhne samt einigen Unvorsichtigen, die mit ihnen gemeinsame Sache gemacht, traf Verbannung; der Vater, seiner Güter beraubt, war im Elend.

Im ersten Augenblicke, als Starschensky den Namen Laschek hörte, wußte er auch schon, daß die Lage des Unglücklichen nicht ganz unverschuldet war. Denn, wenn er auch einer unmittelbaren Teilnahme an den Anschlägen seiner Söhne nicht geradezu überwiesen werden konnte, so hatte er doch durch Leichtsinns in der Jugend und üble Wirtschaft im vorgerückten Alter seinen Söhnen die rechtlichen Wege des Emporkommens schwierig, und Wagnisse willkommen gemacht. All dies war dem Grafen nicht verborgen. Aber es galt einen Unglücklichen zu retten, und Elgas Vater hatte den beredtesten Fürsprecher bei dem Entbrannten für seine Tochter.

Laschek ward in eine anständige Wohnung gebracht, er und seine Tochter mit dem Notwendigen versehen. Starschensky verwendete seinen Einfluß, seine Verbindungen, er ließ sich bis zu Geld und Geschenken herab, um die Wiederherstellung des Entsetzten, die Rückberufung der Verbannten zu erwirken. Glücklicherweise

waren die äußeren Verhältnisse längst vorüber, welche die Anschläge jener Unvorsichtigen gefährlich gemacht hatten. Verzeihung ward bewilligt; die Verwiesenen rüsteten sich zur Heimkehr. Mehrere der Unglücksgenossen hatten, ihrem Leichtsinne treu, Dienste in fremden Landen genommen; nur Lascheks beide Söhne und ein entfernter Verwandter des Hauses, Oginsky genannt, machten Gebrauch von der schwer erlangten Erlaubnis. Täglich erwartete man ihre Ankunft.

Die Wiedergabe von Lascheks eingezogenen Gütern zeigte sich indes als wenig Nutzen bringend. Täglich erschienen neue Gläubiger. Hauptstock und rückständige Zinsen verschlangen weit den Wert des vorhandenen Unbeweglichen. Starschensky trat ins Mittel, bezahlte, verschuldete seine eigenen Güter und konnte dennoch kaum einen geringen Rest der Stamm-Besitzungen, als ein Pfropfreis für die Zukunft, retten.

Glücklicher schien er mittlerweile in seinen Bewerbungen um Elgas Herz. Als das Mädchen sich zum erstenmale wieder in anständigen Kleidern erblickte, flog sie ihm beim Eintritte aufschreiend entgegen, und ein lange nachgefügter Kuß von ihren brennenden Lippen lohnte seine Vorsorge, sein Bemühen. Dieser erste Kuß blieb freilich vorderhand auch der letzte, nichtsdestoweniger durfte sich aber doch Starschensky mit der Hoffnung schmeicheln, ihrem Herzen nicht gleichgültig zu sein. Sie war gern in seiner Gesellschaft, sie bemerkte und empfand seine Abwesenheit. Oft überraschte er ihr Auge, das gedankenvoll und betrachtend auf ihn geheftet war; ja einigemale konnte er nur durch schnelles Zurückziehen verhindern, daß nicht ein Kuß, den er gar zu gerne seinen Lippen gegönnt hätte, auf seine Hand gedrückt wurde. Er war voll der schönsten Hoffnungen. Doch mit einemmale änderte sich die Szene. Elga ward düster und nachdenkend. Wenn sonst ihre Neigung für Zerstreungen, für Kleiderzier und Lebensgenuß sich aufs bestimmteste aussprach, und manchmal hart an die Grenzen des Zuviel zu streifen schien, so mied sie jetzt die Gesellschaft. Streitende

Gedanken jagten ihre Wolken über die schöngeglättete Stirne; das getrübe Auge sprach von Tränen, und nicht selten drängte sich ein einzelner der störenden Gäste unter der schnellgesenkten Wimper hervor. Starschensky bemerkte, wie der Vater sie dann ernst, beinahe drohend anblickte, und eine erkünstelte Heiterkeit das Bestreben des Mädchens bezeichnete, einen heimlichen Kummer zu unterdrücken. Einmal, rasch durchs Vorgemach auf die Türe des Empfangszimmers zuschreitend, hörte Starschensky die Stimme des Starosten, der aufs heftigste erzürnt schien und sich sogar ziemlich gemeiner Ausdrücke bediente. Der Graf öffnete die Türe und sah ringsum, erblickte aber kein drittes; nur die Tochter, die nicht weinend und höchst erhitzt, vom Vater abgekehrt, im Fenster stand. Ihr mußten jene Scheltworte gegolten haben. Da ward es fester Entschluß in der Seele des Grafen, durch eine rasche Werbung um Elgas Hand, der marternden Ungewißheit des Verhältnisses ein Ende zu machen.

Während er sich kurze Frist zur Ausführung dieses Vorsatzes nahm und Elgas vorige Heiterkeit nach und nach zurückkehrte, langten die aus der Verbannung heimberufenen Angehörigen an. Elga schien weniger Freude über den Wiederbesitz der so lange entbehrten Brüder zu empfinden, als der Graf vorausgesetzt hatte. Am auffallendsten aber war ihre schroffe Kälte, um es nicht Härte zu nennen, gegen den Gefährten von ihrer Brüder Schuld und Strafe, den armen Vetter Oginsky, den sie kaum eines Blickes würdigte. Gut gebaut und wohl aussehend, wie er war, schien er eine solche Abneigung durch nichts zu verdienen; vielmehr war in seinem beinahe zu unterwürfigen Benehmen das Streben sichtbar, sich um die gute Meinung von jedermann zu bewerben. Keine Härte konnte ihn aufbringen; nur schien ihm freilich jede Gelegenheit erwünscht, sich der beinahe verächtlichen Behandlung Elgas zu entziehen. Zuletzt verschwand er ganz, und niemand wußte, wo er hingekommen war.

Nun endlich trat der Graf mit seiner Bewerbung hervor, der alte Starost weinte Freudentränen, Elga sank schamerrötend und sprachlos in seine Arme, und der Bund war geschlossen. Laute Feste verkündeten der Hauptstadt Starschenskys Glück, und wiederholte, zahlreich besuchte Feste versicherten ihn der allgemeinen Teilnahme. Durch eine Ehrenbedienstung am Hofe festgehalten, lernte er bald sich in Geräusch und Glanz fügen, ja wohl gar daran Vergnügen finden, wenigstens insoweit Elga es fand, deren Geschmack für rauschende Lustbarkeiten sich immer bestimmter aussprach. Aber war sie nicht jung, war sie nicht schön? Hatte nicht, nach langen Unfällen, jede Lust für sie den doppelten Reiz, als Lust und als neu? Der Graf gewährte und war glücklich. Nur eines fehlte, um ihn ganz selig zu machen: schon war ein volles Jahr seit seiner Vermählung verstrichen, und Elga gab noch keine Hoffnung Mutter zu werden.

Doch plötzlich ward der Rausch des Glücklichen auf eine noch weit empfindlichere Weise gestört. Starschenskys Hausverwalter, ein als redlich erprobter Mann, erschien, trübe Wolken auf der gefurchten Stirn. Man schloß sich ein, man rechnete, man verglich, und es zeigte sich bald nur zu deutlich, daß durch das, was für Elgas Verwandte geschehen war, durch den schrankenlosen Aufwand der letzten Zeit, des Grafen Vermögensstand erschüttert war und schleunige Vorsorge erheischte. Das Schlimmste zu dieser Verwirrung hatten Elgas Brüder getan. Wie denn überhaupt das Unglück nur Besserungsfähige bessert, so war die alles verschlingende Genußliebe des leichtfertigen Paares durch die lange Entbehrung nur noch gieriger geworden. Auf die Kasse des Grafen mit ihrem Unterhalte angewiesen, hatten sie den überschwenglichsten Gebrauch von dieser Zugestehung gemacht, und nachdem der in Seligkeit schwimmende Graf auf die ersten Anfragen seiner besorgten Geschäftsleute ungeduldig die Antwort erteilt hatte: man solle es nicht zu genau nehmen und seinen Schwägern geben was sie bedurften, war bald des Forderns und Nehmens kein Ende.

Der Graf überschah mit einem Blicke das Bedenkliche seiner Lage und, ordnungsliebend wie er war, hatte für ihn ein rasches Umkehren von dem eingeschlagenen Taumelpfade nichts Beängstigendes. Nur der Gedanke an Elga machte ihm bange. Wird das heitere, in unbefangenen Frohsinn so gern hinschwebende Wesen – ? Aber es mußte sein, und der Graf tat, was er mußte. Mit klopfendem Herzen trat er in Elgas Gemach. Aber wie angenehm ward er überrascht, als, da er kaum die Verhältnisse auseinandergesetzt und die Notwendigkeit geschildert hatte, die Stadt zu verlassen, um auf eigener Scholle den Leichtsinn der letztverflossenen Zeit wieder gut zu machen, als bei der ersten Andeutung schon Elga an seine Brust stürzte, und sich bereitwillig und erfreut erklärte. Was er wolle, was er gebiete, sie werde nur gehorsam sein! Dabei stürzten Tränen aus ihren Augen, und sie wäre zu seinen Füßen gefallen, wenn er es nicht verhindert, sie nicht emporgehoben hätte zu einer langen, Zeit und Außenwelt aufhebenden Umarmung.

Alle Anstalten zur Abreise wurden gemacht. Starschensky, der, von Jugend auf an Einsamkeit gewohnt, alle Freuden des Hofes und der Stadt nur in der Freude, die seine Gattin daran zeigte, genossen hatte, segnete beinahe die Unfälle, die ihn zwangen, in den Schoß seiner ländlichen Heimat zurückzukehren. Elga packte und sorgte, und in den ersten Nachmittagsstunden eines warmen Mai-entages war man mit Kisten und Päckchen in dem altertümlichen Stammschlosse angekommen, das, neu eingerichtet, und aufs beste in Stand gesetzt, durch Nachtigallenschlag und Blütenduft wetteifernd ersetzte, was ein verwöhnter Geschmack in Vergleich mit den Palästen der Städte, allenfalls hätte vermissen können.

Bald nach der Ankunft schien sich zum Teile aufzuklären, warum Elgan die Änderung der bisherigen Lebensweise so leicht geworden war. Sie stand in den ersten Monaten einer bis jetzt verheimlichten Schwangerschaft, und Starschensky, mit der Erfüllung aller seiner Wünsche überschüttet, kannte keine Grenzen seines Glücks.

SPIS TREŚCI

KLASZTOR POD SANDOMIERZEM	5
DAS KLOSTER BEI SENDOMIR	35